

Michał Kuź: Niemcy. Pycha i poniżenie

Wiele wskazuje na to, że niemieckie elity nie dojrzały jeszcze do pełnej politycznej niezależności. Nie zrozumiały, dlaczego właściwie to Anglosasi zatriumfowali nad nimi w poprzednim stuleciu, zaś dokonując tylko powierzchownych zmian ideologicznych skazują siebie i Europę na powtarzanie błędów przeszłości – pisze dr Michał Kuź w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Niemcy – państwo bez formy?

Problem niemieckiej polityki polega na tym, że nie ma ona wbudowanych bezpieczników. Raz wprawiona w ruch przez jakąś ideę rozpędza się i gna w kierunku hiperbolizacji, a potem upadku. Dlatego po wydarzeniach pierwszej połowy dwudziestego wieku przestano Niemcom ufać i oddano je niejako pod kuratelę Anglosasów. Niemcy zawsze jednak odczuwali ten fakt jako poniżającą obcą dominację. Dziś nie kryją się ani z antyamerykanizmem, ani też nie zatrzymują specjalnie w UE Wielkiej Brytanii. Wiele wskazuje jednak na to, że niemieckie elity nie dojrzały jeszcze do pełnej politycznej niezależności. Nie zrozumiały, dlaczego właściwie to Anglosasi zatriumfowali nad nimi w poprzednim stuleciu, zaś dokonując tylko powierzchownych zmian ideologicznych skazują siebie i Europę na powtarzanie błędów przeszłości.

Podczas jednego ze swoich wykładów historyk sztuki dr Maciej Jarzewicz wysunął ciekawą ideę na temat powtarzającego się w percepcji i autopercepcji niemieckiej historii wzorca. Nazwał go

„cyklem Thietmara”, od imienia słynnego średniowiecznego kronikarza z Merseburga, który pierwszy opisał ten mechanizm w odniesieniu do dokonań władców niemieckich. Cykl ten w swojej podstawowej wersji wygląda następująco: Niemcy „żyją w poniżeniu”, Niemcy rosną w siłę, Niemcy „wbijają się pychę”, ukarane Niemcy znów „żyją w poniżeniu”. Myśl wydaje się prosta i nawiązuje do cyklicznego przedstawienia historii Izraela w Biblii, jednak w przypadku Niemiec ma swój szczególny wydźwięk. Ciekawy jest też zastosowany przez biskupa Thietmara dobór słów. Dwa ekstrema to nie potęga versus słabość, czy bogactwo versus bieda, tylko pycha i poniżenie. Niczym niezmacona pewność siebie i niechętnie akceptowanie cudzej przewagi. Patrząc na to z punktu widzenia historii idei, pycha to moment największego idealistycznego przekonania, że ma się uniwersalny klucz to rozwiązania wszystkich bolączek ludzkości, a moment poniżenia to okres nagłego pęknięcia dawnych idei i gorączkowego, często bezrefleksyjnego, poszukiwania nowych.

Duże cykle thietmarowskie odmierzane są momentami wykrystalizowania się najbardziej idealistycznych politycznych wizji, które na przestrzeni wieków poruszały ludzi mówiących językiem niemieckim. W czasach Thietmara taką krystalizacją był uniwersalizm świętego cesarstwa, przekonanie, że to Niemcom jest powierzone odbudowanie Rzymu. Po raz kolejny taki poziom idealizmu politycznego Niemcy osiągnęli dopiero wraz z Heglem i przekonaniem, że to Prusy są wcieleniem ideału nowoczesnego państwa. Po pierwszej wojnie światowej najnowszym wcieleniem niemieckiego ideału było zaś przekonanie, że to ten naród jest najdoskonalszym produktem ludzkiej rasy. Swoście niemieckim uniwersalizmem był zresztą również marksizm, później twórczo rozwinięty przez Lenina.

Świadomość istnienia tych cykli musi niepokoić, gdy dziś na fali antytrumpowskiej histerii słyszy się w liberalno-globalistycznej prasie o światowym przywództwie Niemiec, a od samych Niemców o „hegemonii mimo woli”. W 2016 „Forbes” uznał kanclerz Merkel za najbardziej wpływową kobietę na świecie. „New York Times” w tym roku zaczął zastanawiać się, czy Niemcy mogą „pokierować wolnym światem”. Zaś „Foreign Policy” ogłosił wręcz „nastanie pax germanica”. Co ciekawe, pomysły te nie nasunęły się bynajmniej amerykańskim globalistom samoistnie. Jeszcze w 2012 Christopher Schönberger, profesor prawa z Konstancji, pisał o „niechętnym hegemonie”. Nie sposób nie zapytać, czy współcześni myśliciele tak bardzo są przekonani, że liberalizm nie jest zwykłą ideologią i nie można go w niebezpieczny sposób wypaczyć, że postanowili jego sztandar powierzyć właśnie Niemcom? Trudno jednak na tak postawione pytanie odpowiedzieć, bowiem przekonanie o immanentnym niepokalaniu liberalizmu jest raczej kwestią wiary pokrewnej wierze religijnej niż racjonalnego namysłu.

Wiadomo natomiast, że kultura anglosaska ma do idei politycznych stosunek zasadniczo inny niż kultura niemiecka. Nawet, jeśli Anglosasi sami nie zawsze zdają sobie z tego sprawę. Owszem, mogą z pozoru i dość powierzchownie wierzyć w to samo, w co na aktualnym etapie wierzą i Niemcy: w królestwo, republikę, naród, rasę czy wolnorynkową globalizację; wiara ta ma jednak zawsze u Anglosasów zasadniczo inne zabarwienie. Od wieków bowiem równoważą abstrakcję zmysłem praktycznym, który nakazuje, aby idee poddawać możliwie otwartej debacie w ogólnych ramach klasycznej logiki. Wynik tej debaty decyduje o praktycznym zastosowaniu ogólnych koncepcji i współcześnie zwie się, w największym skrócie, „common sense”. Niemcy tymczasem każdą ideę starają się zakotwiczyć w czystej

Niemcy każdą ideę starają się zakotwiczyć w czystej metafizyce, w wierze. To dlatego nowe cesarstwo musi być święte, państwo musi być absolutem, rasa musi być pańska, a liberalizm musi być bezkompromisowy i multikulturalistyczny

metafizyce, w wierze. To dlatego nowe cesarstwo musi być święte, państwo musi być absolutem, rasa musi być pańska, a liberalizm musi być bezkompromisowy i

multikulturalistyczny.

To właśnie w tym podejściu tkwić może praźródło rozmaitych rozdzwinków politycznych między Anglosasami a Niemcami. Niemiecka debata publiczna jest w gruncie rzeczy dość płytka, a społeczeństwo zawsze niezwykle ochoczo orientuje się na ustalany przez elity konsensus. Elitami od czasu do czasu wstrząsa zaś historyczna rewolucja, jest to jednak zwykle tylko krótki okres burzy i naporu. Po ugruntowaniu się przewagi jednej opcji elity niemieckie szybko zamieniają się zaś w monokulturę, w której nie ma miejsca na polityczność czy republikańskość w anglosaskim tego słowa znaczeniu. Ostatnia taka rewolucja miała miejsce w latach sześćdziesiątych i doprowadziła do powstania w zachodnich Niemczech zamkniętego, samoreprodukującego się systemu liberalno-lewicowych elit, które dominują w mediach, polityce, a nawet kościele. Po zjednoczeniu dokoptowano do nich część polityków wschodnich, jednak tylko na

zasadzie pełnej akceptacji konsensusu, który nabrał już charakteru określanego często globalizmem (dziecko z mariażu obyczajowej lewicy i liberalizmu).

Mówiąc obrazowo, politykę anglosaską można porównać do wysokoprężnego silnika, w którym ciągle zachodząca samoczynna (a zarazem kontrolowana) eksplozja popycha cały system do przodu. W ramach eksploatacji co jakiś czas następuje też wymiana oleju, a więc częściowo kontrolowana populistyczna korekta, która przypomina elitom, często boleśnie, o tym, komu muszą w systemie republikańskim służyć. W tym sensie Trump niewiele się różni się od Andrew Jacksona czy Teddy'ego Roosevelta, Boris Johnson to zaś spadkobierca levellersów i czartystów. Polityka niemiecka jest natomiast jak napęczniały kocioł parowy z wadliwym układem chłodzenia. Jego eksploatacja to historia gwałtownych wybuchów, odbudowujących inżynierów i nowych eksplozji.

Ostatnio najpoważniejszym wyzwaniem dla kotła był kryzys migracyjny. W imię abstrakcyjnych idei kanclerz Merkel zwiększyła temperaturę polityczną do niebezpiecznej granicy. Potem z polityki otwartych drzwi trzeba się było szybko wycofywać, napływ imigrantów spadł, do politycznej eksplozji nie doszło. Ciśnienie migracyjne się jednak wciąż zwiększa, a próbując je umniejszyć Niemcy de facto rozsadzają Unię Europejską poprzez kontrowersyjny system kwotowy. Równocześnie nie chcą się zdecydować na zupełne zamknięcie granic dla nielegalnego napływu ludzi lub choćby, jak chce bawarska CSU, na ustalenie górnego limitu przyjmowanych imigrantów. Przy ciągle wzrastającym ciśnieniu widmo eksplozji zaś niestety nie znika.

Podobnie jest z innymi elementami niemieckiej polityki zagranicznej Niemcy przedstawiają kolejną uniwersalistyczną wizję i jest to wizja Unii nie jako luźnej konfederacji, tylko dość spójnego ciała politycznego. Odwrócenie się Wielkiej Brytanii od tak rozumianego procesu integracji było do przewidzenia. Istotnie Berlin zdawał się Brytyjczyków nie zatrzymywać. Dziś niemieccy politycy chcą zaś raczej twardego brexitu. Niemcy planują się też w dalszej perspektywie uniezależnić politycznie i gospodarczo od USA. Kraju, który wciąż Niemcy niejako okupuje. Te nastroje, choć jeszcze nieco skrywane, często ujawniają się w dość zaskakujący sposób. Podczas kampanii wyborczych nad Sprewą wybucha coraz bardziej żywiołowy antyamerykanizm. Prezydenta Trumpa witają zamieszki uliczne. Spontaniczne protesty przechodzą ulicami, którymi przemierzają amerykańskie czołgi jadące z niemieckich portów na wschód, do Polski.

By rozmawiać z Waszyngtonem jak równy z równym, berliński ośrodek musi jednak jeszcze urosnąć w siłę. Sama Unia Europejska to dla tego projektu niestety za mało. Słabsze gospodarki peryferii Unii już czują się przez niemiecką eksportową hegemonię przyduszone do granic możliwości i wołają o uczciwszą redystrybucję lub gotowe są opuścić eurozonę. Wystarczy przypomnieć sobie grecki kryzys i sięgnąć po nader zdroworozsądkowe analizy Janisa Warufakisa. W gruncie rzeczy na euro dziś mało kto poza Berlinem korzysta. Krnąbrność krajów nowej Unii źle zaś rokuje na przyszłość, wyraźnie nie chcą one bowiem powielać greckich błędów i tak po prostu roztopić się w kolejnym niemieckim projekcie. To wszystko oznacza, że chcąc się uzależnić od USA, Berlin musi szukać tak zwanej strategicznej głębi już poza samą unią.

Pojawia się tu odwieczna pokusa wznowienia marszu na wschód i szukania nowych zasobów, rynków i surowców w wielkim kontynentalnym partnerstwie z Rosją, a w dalszej perspektywie z Chinami. Nie ma się co oszukiwać, dziś większość sił politycznych w Niemczech mniej lub bardziej głośno opowiada się za ociepleniem stosunków z Moskwą. Najmniej temu przychylna jest chyba sama kanclerz Merkel, ale i ona musi przyzwalać na projekty typu Nordstream 2. Oczywiście cywilizacyjna i kulturowa niekompatybilność Rosji to dla Niemiec pewien problem, zwłaszcza po wojnie na Ukrainie. Na razie stosowane jest więc zagranie pośrednie. W Rosję uderzono sankcjami, ale tak aby nie naruszać długofalowych i kluczowych projektów niemieckich koncernów. Tymczasem amerykański plan zaostrzenia sankcji wobec Rosji, tak aby dotknęły one też handel surowcami energetycznymi z Europą, wywołał furję. Minister gospodarki Brigitte Zypries uznała sankcje USA za sprzeczne z prawem międzynarodowym i zażądała od Brukseli podjęcia środków zaradczych. Jean-Claude Juncker przy poparciu Berlina przygotowuje się bez mała do wojny handlowej z Waszyngtonem.

Niejednoznaczna polityka wobec Moskwy skrywa jednak kolejne mogące rozsadzić kocioł napięcie. Niemcy z jednej strony chcą być „moralnym imperium”, a z drugiej by uniezależnić się od USA muszą współpracować z siłami, które są, delikatnie mówiąc, dość odległe ideowo. Cerkiewno-resortowa dyktatura Putina i neokonfucjanistka panchińska korporacja raczej nie zechcą przyjąć multikulturowego i posthistorycznego modelu niemieckiego. W efekcie owoce współpracy niemiecko-rosyjskiej i niemiecko-chińskiej, nawet jeśli dojrzeją, będą miały dla Niemców dość cierpki smak. W dłuższej perspektywie Berlin będzie musiał albo ulec wewnętrznej putinizacji, co zapewne nie

przeszkadzałoby personom pokroju Gerharda Schrödera, albo przygotować na zewnętrzną konfrontację z Moskwą i Pekinem. Tyle, że już bez gwarantowanego amerykańskiego wsparcia.

Przy zachowaniu wszelkich proporcji przypomina to sytuację znaną z najnowszej historii, kiedy to rządzący w Niemczech reżim musiał się porozumieć się z reżimem rządzącym na terenie dawnej Rosji, pomimo niezwykle wydatnych różnic ideologicznych. Ten alians był jednak kruchy i obie strony wiedziały, że wkrótce dojdzie do przecięcia.

Tak może być i tym razem. Gdyby Polskę można było przenieść do Kanady, cykliczny *furor teutonicus* byłby może nawet i komiczny. Nikomu, kto dziś sąsiaduje z Niemcami, nie jest jednak raczej do śmiechu. Teoretycznie Niemcy mogłyby tę partię rozgrywać inaczej, pragmatycznie starając się ułożyć z Trumpem, nie przesadzając z integracyjną presją wewnątrz UE i unikając wikłania się w niejasne konszachty z Kremlem. Mogłyby. Jednak niemieckie elity nie zwykły słuchać niczyich rad, a temperatura kotła przekracza powoli stan krytyczny.